Madame Chauchat

– „Czy uważasz nas, Niemców, za pedantów – *nous autres allemands*?”[1] – tak, tak właśnie spytała, pamiętaj, że uczy literatury i języków obcych, więc odpowiedziałem: – „*Mais c’est vrai*, jesteście trochę *bourgeois. Vous aimez l‘ordre mieux que la… la liberté, tout Europe le sait*” (bo przecież cenią porządek bardziej niż wolność, to rzecz powszechnie wiadoma) – i już od tej pory nazywałem ją *ma petite burgeoise*, a czasem też „snobką”, co było mniej wyrafinowane, choć dość czytelne. Cóż, ona popatrzyła na mnie wtedy dziwnie i zaśmiała się może trochę zbyt nerwowo: – *Do you really know it...? Well, typical Poles, they pretend to be more educated, more sophisticated and smarter than they are. Anyway, don’t call me snobby. Better kiss me, sweetie. Am I snobby? No...* – to było na drugim albo trzecim spotkaniu. Tak, na trzecim. Już u niej. W jej ogromnym mieszkaniu, w jej sypialni, w jej łóżku, wielkim i pachnącym, tym naturalnym zapachem jej ciała, wśród puszystych, lekkich, biało-błękitnych poduszek i kołder. – *No, no*. Nie jesteś ani burżujką, ani snobką. Może w dziesięciu procentach. – Dziesięć? *Ten*? *Good. It’s not too much*…

Marek przerwał, odwrócił się, przytrzymał moją rękę i wskazał głową:

– Stańmy tam, z tego miejsca dobrze widać dolinę, na skarpie mam swoje chwile królowania. O ile daję radę dojechać, męczy mnie pokonywanie tych wszystkich zakrętów.

Ustawiłem wózek Marka przy dużym, siwym kamieniu, koło rachitycznego klombu z kwitnącymi gdzieniegdzie gencjanami, gdzie kończyła swój żywot wąska żwirowa alejka, która kręcąc się i wijąc, wiodła tu od tylnego wyjścia z sanatorium.

Nazywałem to miejsce „sanatorium”, naprawdę jednak nosiło nazwę „Ośrodka rehabilitacji chorych na SM”. Uszkodzenie osłonek włókien nerwowych skutecznie opierające się próbom przezwyciężenia lub radykalnego zahamowania rozwoju. Które sporą garść chorych upośledza dość szybko, często uprzejmie proponuje wózek inwalidzki, a czasem układa na półkę, jak sprzedawca w kiosku warzywnym pomidory, marchew czy cebulę. Do ośrodka skierowano mnie na praktykę w ramach specjalizacji. „Może pojedzie pan tam, kolego, na dwa–trzy miesiące i zobaczy, co może zdziałać terapia ruchowa, rozmowy z psychologiem, pobyt na świeżym powietrzu. Po to, by zrozumieć, że tam, gdzie zawodzi farmakologia, pomagają tradycyjne metody, a przede wszystkim życzliwość i poczucie wspólnoty. Chorych,

[1] Tu i dalej cytaty z *Czarodziejskiej Góry* Tomasza Manna, w tłumaczeniu Romana Kramsztyka

lekarzy, terapeutów. Należałoby także przyjrzeć się paru konkretnym przypadkom. To na Pogórzu, spodoba się panu okolica". Był koniec wiosny, zapowiadało się pogodne i długie lato, nie miałem specjalnych planów, odmówić profesorowi nie bardzo wypadało; pozałatwiałem więc sprawy w Akademii, moje biedne roślinki wyniosłem do sąsiadów, spakowałem się i pojechałem.

„No, to już byłoby chyba wszystko. Cieszę się, naprawdę bardzo się cieszę. Z waszą kliniką łączą nas silne więzy" – dyrektor ośrodka, uprzejmy, starszy pan, odprowadził mnie do drzwi gabinetu. „Proszę się rozgościć, rozejrzeć po okolicy, a od jutra zaczynamy. Przedstawię pana personelowi i pacjentom. Tak się składa, że w przyszłym tygodniu mamy okresowe badanie wszystkich naszych... gości, pomoże nam pan, prawda? Aha, jeszcze jedno, my tu jadamy wspólnie z pacjentami i – co ważne – staramy się przestrzegać rotacji miejsc przy posiłkach. To nas lepiej integruje. Jest tylko problem z panem Markiem, który jest już właściwie… rezydentem. Niespełna trzydzieści lat, pisarz czy kandydat na pisarza, już dwa rzuty, teraz chyba faza postępująca. Szybko to idzie, za szybko. Czeka na program kliniczny. Wydał zbiór opowiadań, próbowałem czytać, ponure takie. Jego ojciec to mój szkolny kolega, umieścił go u nas na dłużej. Jak długo? A któż to może wiedzieć. No więc nasz Marek nie toleruje żadnego sąsiedztwa przy stoliku, przy j e g o stoliku w jadalni; ba, żeby tylko to – on nie uznaje ani mnie, ani moich rehabilitantów, ani innych chorych, nikogo. Jest ktoś, kogo toleruje. Była tu niedawno. No, dość o tym. Niechże pan spróbuje usiąść kiedyś w czasie posiłku koło niego. Nie od razu... Pozna go pan, to ów obcięty na jeża szczupły młody człowiek w kraciastej koszuli. Innej chyba nie ma".

– Postaw wózek bokiem do urwiska, w dół w linii prostej jest ze dwadzieścia metrów; to miejsce nadaje się nie tylko do królowania, można tu również abdykować, ale ja na razie jeszcze nie noszę się z takim zamiarem – grymas wykrzywił mu twarz. – Spójrz, z lewej widać Górę, jej szczyt schował się teraz w ławicy mgieł. Dziś są wyjątkowo gęste, pewnie diabły szykują jakąś hecę. Okoliczni mieszkańcy inaczej o niej nie mówią, tylko: „Góra" i wierzą, że u jej podnóża mieszka stary czart, który karze tych, co to za bardzo przywiązują się do tego świata. Naprawdę. Więc mnie to nie grozi, tobie na razie chyba też nie? Ale lepiej tu nie przyjeżdżaj, gdy już będziesz obrzydliwie bogatym neurologiem. Tam na wprost, w kotlinie, przysłonięta nieco drzewami, jest mała ni to osada, ni wioska, stamtąd właśnie dojeżdża nasz „radca Behrens". Z prawej strony przebijają się przez chmury wzgórza, za którymi rozłożyła się „metropolia" – Radzyń, a dalej, gdzieś tam na północy, jest mój Kraków. Nasz Olchowiec już zwiedziłeś? Nie? W takim razie proponuję mały rekonesans. Do

kolacji jeszcze mnóstwo czasu. W miasteczku jest kościół z polichromiami z XVIII wieku, mały zbór ewangelicki z wieku bodaj czy nie XVI, karczma, zabytkowy młyn, dwa cmentarze, większy i mniejszy, jeden obok drugiego – jak dwa skrzydła kalekiego ptaka. Widać je stąd, o tam na prawo, przy zakolu rzeki… Nie, one nie dla nas, my szybko nie umieramy. Mikrobus z ośrodka co tydzień wozi pacjentów na małe zakupy, na kawę, inną niż ta nasza, hm, klubowa, dla nabrania w płuca powietrza innego niż to tutaj. Ja lubię zachodzić do małej księgarni na rynku, mają tam niezłe, rzadkie książki oraz Internet. Swoją drogą to skandal, żeby w ośrodku nie było Netu. Nasz dyrektor to miły człowiek, ale starej daty, nie rozumie nowych trendów. Ale, ale, sądzisz, że już dostałem maila?

Gdy podczas którejś kolacji dostawiłem krzesło do jego stolika, spojrzał na mnie niechętnie, wręcz wrogo. „Zwykle jadam sam. Panie doktorze-stażysto, który przyjechałeś tu dla zaspokojenia niezdrowej ciekawości, jak też wygląda zbiorowisko powykręcanych, pogiętych ludzi. Nie ludzi, ale kukiełek, marionetek właściwie. Sznurek w górę, nóżka w górę. A teraz prawa rączka, hoop. Doskonale, mój mały Pierrot, zrobiłeś postępy, dziś o sześć milimetrów wyżej. Doskonale. A czy nadal zakochany w tej ładnej, eleganckiej pani z Niemiec? Jakże jej na imię? Nie powiemy pani terapeutce? Szkoda, no to sznurek w górę... Cóż, proszę usiąść. Ma pan inteligentne oczy i... piękne ręce. Jak ona. Czy pan wie, że dusza człowieka mieszka w jego oczach i dłoniach? Leonardo twierdził, że oczy to okno duszy, wiele czasu poświęcał też studiowaniu rąk, układu dłoni. Przez inne rewiry dusza tylko przebiega, prześlizguje się, a tam, w oczach i dłoniach, jest najdłużej, najpełniej. Dlatego przymykamy zmarłemu powieki i splatamy palce, żeby nie widzieć, że już go opuściła. Moim zdaniem – na zawsze. Ale mogę się mylić. Nie byłem – byłem – nie jestem – nie dbam o to. A pan, co pan o tym sądzi? No dobrze, jestem Marek. Marek Polus. Pisarz *in spe*. Po kolacji zapraszam do mnie na kielicha i na ciąg dalszy”.

Nie pogodził się z chorobą, z nową dla siebie rzeczywistością, z ograniczeniem swobody, życia i myślenia, zawisł gdzieś pomiędzy byłym i przyszłym, zatrzymał się w jakimś punkcie kosmosu, z tego punktu nie widać było nic, absolutnie nic, horyzont i czasu, i przestrzeni był bardzo ograniczony. Z teraźniejszością zaś wiązało go tylko pisanie. I ona. W innych ludziach, zdarzeniach, miejscach, rzeczach był sens o tyle, o ile istniał jakiś związek z pisaniem i z nią. Tyle właśnie sensu tkwiło teraz we mnie, lekarzu-stażyście. Tylko tyle i aż tyle. Słuchaczu i powierniku, który ma tę zaletę, że tak jak znienacka, szczęśliwie pojawia się, tak szybko i bezszelestnie odchodzi i znika. Ja zaś poczułem w sobie nagle przymus

wysłuchania jego historii; idąca od wewnątrz siła przykuwa nas czasami do foteli i krzeseł i nie możemy się jej w żaden sposób przeciwstawić.

Wjechaliśmy windą na trzecie, ostatnie piętro („nad nami już tylko niebo i, wedle niektórych pomysłów, Bóg") i dotarliśmy do małego mansardowego pokoju na końcu korytarza („numer 34, czyż nie jest to zabawne?"). Urządzony był prosto, ściany pomalowano na biało, na małym biurku stał laptop, na regale piętrzyła się sterta książek, na ścianie nad tapczanem wisiał plakat – fotografia nagiej kobiety. „To Newton, Helmut Newton. Tylko on tak potrafi fotografować kobiety. Bez cienia pruderii; są obojętne, nieobecne, wyzywające. A przecież pożądamy ich i pragniemy. Tam na półce leżą dwa albumy jego zdjęć. Dostałem je od... Katrin. Uwielbiamy oglądać je razem". Marek wstał ciężko z wózka i, podpierając się laską, podszedł do komody, na której w wazoniku stało parę zasuszonych kwiatków, krwawników chyba i dzwonków, zebranych zapewne na łące przed budynkiem. „Zrobię coś do picia i posiedzimy na balkonie. Nie ma tu widoku na dolinę, za to mam świetny punkt obserwacyjny, bo widać i wejście do ośrodka, i poczekalnię gabinetu Behrensa. Niechże się pan... nie obawiaj się, zawinę się w pled, wedle j e g o metody – wskazał na opasły tom leżący na tapczanie – i możemy pogadać bez obaw. Jak może wiesz, przeziębienie, infekcja zwiększają w sposób istotny prawdopodobieństwo kolejnego… pogorszenia, a na to sobie nie mogę pozwolić. Nie teraz! Nie teraz!".

Przełożył książkę na szafkę nocną.

„Od kiedy choruję, nie rozstaję się z nią. Niektóre fragmenty znam prawie na pamięć. No, chodźmy, chcę ci coś opowiedzieć, komuś w końcu muszę.

... Ponad rok temu. Byłem po pierwszym epizodzie, jeszcze niepewny co do diagnozy, na zwolnieniu lekarskim (pracuję, pracowałem w małym wydawnictwie), więc wolny jak ptak – cieleśnie, z duszą było znacznie gorzej. Rano usiłowałem coś pisać, potem w samo południe wędrowałem, właściwie kuśtykałem, do 'Noworolskiego' na kawę. Pół kilometra od domu to był wówczas dla mnie dystans możliwy do pokonania. Mieszkałem już sam, moja młoda żona nie wytrzymała moich obaw i lęków, rozterek lekarzy. Tego dnia wychodziłem właśnie z kawiarni, zamarudziłem jeszcze chwilę przy barze, podziwiając uroki i powaby zalotnych szarlotek, wdzięcznych napoleonek, a może po prostu dziewczyn z 'Noworola'? Podeszła do mnie z rozłożonym planem Krakowa. Około czterdziestu lat, wysoka, szczupła, wręcz chuda, wąska w ramionach, małe piersi; szarosrebrne włosy i okulary w lekkich stalowych oprawkach, jeśli jej nie postarzały, to budowały wokół jej twarzy nastrój, bo ja wiem – surowości jakiejś, powagi? W szarym kostiumie, owinięta długim szalem w biało-czarną szachownicę wyglądała trochę odpychająco, ale coś w jej oczach i ustach sprawiało, że

wrażenie pierwszego spojrzenia umykało, ginęło natychmiast, a w jego miejsce pojawiała się ciekawość, co też ukrywa za tym parawanem. Usiłując zapanować nad szalem, który przypominał teraz wielkiego motyla, i fruwającą na wietrze mapą, wskazując na niej coś palcem, zagadnęła po angielsku: ‘Czy pan jest z Krakowa? Jak dojechać najszybciej do galerii >>Manggha<<? Czy może mi pan pomóc? Mam mało czasu. Tu nikt nie mówi w obcym języku! Pytam już trzecią osobę. *Typical Polish...*’. Mówiła szybko, uśmiechała się odrobinę ironicznie i poczułem, że coś podoba mi się w tej niezbyt grzecznej cudzoziemce. Czy to coś podszepnęło mi, aby pojechać tam razem z nią? *Maybe.*

… Więc zaczęło się właściwie w taksówkach, tam i z powrotem, za które skwapliwie płaciła, przy okazji usłyszałem znów owe złośliwe *typical Polish*, gdy jeden z taksówkarzy nie miał drobnych, by wydać resztę. W taksówkach? Nie... tak naprawdę zaczęło się w galerii. Nie biegła przez sale jak oszalała, ani też nie zatrzymywała się przed każdym obiektem, wpatrując się w niego godzinami. Nie, szła wolno, skupiona, od czasu do czasu przystawała i przyglądała się czemuś, co ją zaintrygowało, z bliska. To mi odpowiadało, ja też tak lubię oglądać sztukę. Nie mówiła za dużo, ale nie była też małomówna, potem dopiero okazało się, jaka z niej gaduła. Nie znam właściwie niemieckiego (chyba mówiłem ci, że jest Niemką?), więc skazani byliśmy na mój niezbyt błyskotliwy angielski. I kulawy francuski. ‘Jestem nauczycielką, pracuję od miesiąca w niemieckiej szkole w Krakowie, więc nie znam jeszcze miasta zbyt dobrze. Uczę angielskiego i francuskiego, właściwie literatury. W niemieckich szkołach nauczyciel zawsze wykłada dwa przedmioty. To Friedrich Schiller Schule, słyszałeś o niej? Nie? ‘Szkoła Porozumienia’, są i niemieccy, i polscy uczniowie. Wcześniej ponad dwa lata spędziłam w podobnym miejscu we Wrocławiu, tutaj przeniesiono mnie awaryjnie, bo zachorował nauczyciel. Tak, teraz mam dłuższą przerwę, więc postanowiłam zaliczyć „Mangghę”, w tym miesiącu zaplanowałam jeszcze...’ Tu następowała lista galerii, starych kościołów i murów, zatęchłych piwnic, zakurzonych muzeów, ale niewiele było w tym oddechu: muzyki, słowa – filharmonii czy teatrów (z jednym zgoda, język...). ‘Jestem sama, tu nie wszędzie wypada pokazać się samotnej kobiecie. Dlatego, odkąd jestem w Polsce, niewiele, poza Wrocławiem, no i Warszawą, widziałam. Szkoda’. Taka jest: głodna zobaczenia, dotknięcia, poznania. Może to wynik jej pochodzenia? Urodziła się w niewielkiej mieścinie w północnych Niemczech, rodzina przeciętna, zwyczajna, ot, jakich wszędzie pełno. Szaro, smutno, nijako. Chciała stamtąd uciec i uciekła. W świat, w końcu trafiła i tutaj. Zauważyłem jednak, że pozbawiona naturalnego podłoża i wtopienia w krajobraz pozostawała jedynie obserwatorem, wnikliwym, uważnym, ale chłodnym. Nasze namiętności, zgryzoty, smutki i uniesienia były dla niej niezrozumiałe i obce. Czy są takie nadal?

Rozwinęło się szybko, wszystko było naturalne i oczywiste. Ja potrzebowałem jej i czułem, że jest dla mnie najlepszym, jedynym – tak naprawdę – lekarstwem; akurat pojawiła się przygniatająca do ziemi diagnoza i powoli rodząca się świadomość nieuchronności kolejnych wydarzeń. Po pewnym czasie postanowiłem powiedzieć jej całą prawdę, przyjęła ją spokojnie; czułem, że nie do końca rozumie, co się ze mną dzieje. Ja z kolei stałem się dla niej przystanią, w której mogła zatrzymać się na moment w swej podróży po obcym, nieprzystępnym kraju. Paradoksalnie, sam tracąc siły, stałem się dla niej źródłem energii. Postanowiliśmy zgodnie, że po prostu „tu i teraz", na trzeciej randce poszliśmy do łóżka, na szóstej czy siódmej osiągnęła nirwanę (jeszcze wtedy nie sprawiało mi to kłopotu, mogłem więc z powodzeniem grać rolę młodego kochanka).

Irytowała mnie swoim niemieckim *ordnungiem*, ustawianiem butów w wojskowy szereg czy sprzątaniem naszych ubrań z podłogi tuż po, wydawałoby się, zupełnie odlotowej miłości, nieracjonalną potrzebą kupowania wszystkiego na zapas, używaniem wody źródlanej do płukania owoców, włączaniem alarmu nawet, gdy szła tylko wyrzucić śmieci, tym swoim nieustannym *typi*...(do czasu, gdy zagroziłem poważnymi sankcjami). Ją z pewnością złościło rozrzucanie przeze mnie rzeczy po całym mieszkaniu, permanentny bałagan w plikach w jej komputerze, nieustanne przypominanie Holokaustu i pouczanie, że oni po prostu mieli tylko więcej szczęścia w Jałcie, kpiny z niemieckiego poczucia humoru i obrażanie się na jej wzmianki, rzucone jakby mimochodem, o *polnische Wirtschaft*, lekceważenie różnych jej zaleceń, wreszcie coraz dłuższe okresy mego złego samopoczucia i nastroju. Ale przecież nie cień, lecz światło było wtedy w nas i wokoło nas. *Pillow learning,* gdy ona uczyła mnie niemieckich nazw kobiecego ciała, a ja ją polskich słów dla opisania całej reszty świata; magiczne miejsca: zaułki, kafejki, antykwariaty. Było i wtedy, gdy ja siedziałem nad Wyborczą, a ona w drugim pokoju przewracała płachty Die Zeit.

No tak... czas gonił. Potem pojawił się drugi epizod i lekarze zdecydowali, że muszę koniecznie dobrze odpocząć i wrócić do formy. Przyjechałem więc tutaj i tak siedzę, jem, śpię, weranduję, czytam, coś piszę, prowadzę długie i męczące rozmowy z jednym z… kolegów o schyłku wieku, Fukuyamie, Derridzie i innych, o urojonym zakończeniu historii i człowieka, odbieram dziwne telefony od mojej żony-nieżony, czekam na nowy preparat, wchodzi właśnie w fazę testów. Podobno bardzo, bardzo obiecujący. Podobno. Ona... ona tu była, miesiąc temu. Trzy dni. I dwie noce". Marek wziął do ręki książkę, przekartkował: 'Miała tego wieczora na sobie lekką, ciemną jedwabną suknię, z okrągłym wycięciem i obszernymi rękawami, spiętymi u przegubu ręki... Szyję jej zdobił sznur pereł, połyskujących blado w mroku'.

Tak właśnie, tak. Idź już, doktorze. Jestem zmęczony, zmierzę temperaturę i położę się; termometr wyznacza punkt stały tego świata. Jutro po południu proponuję spacer widokowy".

Zaparkowałem przed małą księgarnią. Drzewa na skwerze rzucały długi cień, popołudnie w miasteczku było senne i ciche, trzy dziewczynki skakały na gumie, nucąc smutną, monotonną melodię, koło nich drzemał mały, żółty pies; zegar na ratuszowej wieży wybił z mozołem godzinę piątą. Jakaś para szła powoli chodnikiem i wypatrywała na niebie chmur albo ptaków.

Marek, ociągając się wysiadaniem, zapalił papierosa:

– Teraz nadszedł czas decyzji. Katrin ma postanowić, czy chce zostać w Polsce na kolejne trzy lata, czy też wraca do siebie, do Frankfurtu, gdzie poprzednio pracowała, gdzie ma swój „rejon" i szanse na dużo lepszą posadę. Rozumiesz, jakie to ważne? – chwycił mnie kurczowo za rękę. – Obiecała podjąć racjonalną decyzję. Trzeźwą i zimną. A może i tak się zdarzy, że moja kuracja przyniesie efekt – wspaniały, nadzwyczajny? Wtedy... W każdym razie ma tu niebawem zajrzeć, poznasz ją, ciekaw jestem, czy nie rozjaśniłem i nie pozmieniałem kolorów. Zobaczysz, jaka ona inna od nas tu wszystkich.

Pomogłem mu wysiąść z auta; podpierając się laską i utykając, ruszył w stronę drzwi księgarni. Dziewczynki przestały śpiewać, zwinęły gumę, gwizdnęły na psa i pobiegły w stronę kościoła. Inna para młodych ludzi pojawiła się za zakrętem. Oni też wypatrywali czegoś na niebie.

***